

VIRGINIA

WOOLF

ORLANDO. BIOGRAFIA

**PRZEŁOŻYŁA
AGA ZANO**

MARGINESY

Orlando: A Biography

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION AND PREFACE BY
Aga Zano

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CHŁOPIEC – płeć jego nie budziła bowiem wątpliwości, choć ówczesna moda raczej je pogłębiała zamiast rozwiąć – był zajęty wymierzaniem cięć głowie Maura zwisającej z belki u powały. Barwą przypominała starą piłkę do gry, kształtem z grubsza również, jeśli nie zwracać uwagi na zapadnięte lica i parę kępek wyschłych, szorstkich włosów, na wzór tych, co porastają orzech kokosowy. Głowę strącił z szerokich barków poganina ojciec, a może i dziadek Orlanda, gdy nieszczęśnik ów rzucił się nań gdzieś na zalanej księżycowym blaskiem afrykańskiej równinie; teraz kołysała się łagodnie a nieustannie w przewiewie, który zawsze ciągnął przez poddaszne pokoje ogromnego domostwa lorda, co wyszedł ze starcia zwycięsko.

Ojcowie Orlanda jeździli przez pola asfodeli, przez pola kamieniste, przez pola nawadniane prądami obcych rzek i z wielu ramion strącali głowy w najróżniejszych kolorach, a następnie zwozili je do domu i wieszali na poddaszu. Orlando poprzysiągł sobie, że pójdzie w ich ślady, lecz jako że miał wiosen ledwo szesnaście, zbyt niewiele, by przemierzać Afrykę czy Francję, wymykał się matce i pawiom z ogrodu, by ćwiczyć na strychu ciosy, uskoki i wyskoki. Czasami zdarzało mu się przeciąć sznurek, czaszka Maura tłukła o ziemię i trzeba ją było na nowo mocować, co Orlando czynił po rycersku,

zawieszając głowę wysoko, niemal poza zasięgiem miecza, tak że wróg szczyrzył się doń triumfalnie przez obkurczone czarne wargi. A kołysała się tak nieustannie za sprawą samego domu, na którego poddaszu przyszło jej zawisnąć, a który był tak ogromny, że więził w sobie wiatr, kręcący nią to w jedną, to w drugą stronę, zimą czy latem. Łowcy na zielonym arrasie również trwali w wiecznym ruchu. Ojcowie Orlanda byli stanu szlacheckiego, odkąd zaistnieli. Wyłonił się z mgieł północnych już z koronami na głowach. Czyż pomieszczenia nie przecinały ciemne pasy, między którymi lśniły jak na szachownicy złote płyty słońca, wpadającego przez ogromny witraż, przedstawiający herb rodowy? Orlando stał właśnie pośrodku żółtego cielska heraldycznego lamparta. Gdy sięgnął do parapetu, by rozchylić okno, jego skóra natychmiast zabarwiła się na czerwono, niebiesko i żółto niczym motyle skrzydło. Czytelnik zainteresowany rozsupływaniem znaczeń i symboli mógłby zauważyć, że choć kształtne nogi, wdzięczne ciało i foremne ramiona Orlanda zdobiły różne odcienie herbowego światła, na twarz jego podczas otwierania okna padał jedynie blask słońca. Bardziej szczerzej i poważniejszej twarzy próżno byłoby szukać. Szczęśliwa matka takiego dziecięcia i jeszcze szczęśliwszy biograf, mogący opisywać jego losy! Na nią nigdy nie spadnie żadna zgryzota, a on nie będzie musiał szukać pomocy u prozaika czy poety. Od czynu do czynu, od lauru do lauru, od urzędu do urzędu będzie wędrował nosiciel takiej twarzy, ze skrybą w odwodzie, aż osiągnie szczyt, jaki sobie wymarzył. Orlando, gdy na niego spojrzeć, wyglądał na stworzonego do nie lada kariery. Rumieńce pokrywał mu brzoskwiniowy puch, nad wargą ledwo gęstszy niż na policzkach. Wargi miał wąskie

i odsłaniające nieco zęby o wyjątkowo pięknym odcieniu migdałowej bieli. Krótkiego, zdecydowanego cięcia linii nosa nic po drodze nie hamowało; włosy ciemne, uszy małe, bliskie głowy. Rejestr walorów urody młodzieńca nie mógłby się jednak skończyć bez wzmianki o czole i oczach, zwłaszcza że nieczęsto się zdarza, by ktoś urodził się pozbawiony wszystkich trzech; spoglądając na Orlanda, gdy stoi tak przy oknie, musimy przyznać, że jego oczy przypominają gęsto zroszone fiołki, tak wielkie, że krople wody zdają się przelewać z płatków, jeszcze je poszerzając; brew przywodzi na myśl łuk marmurowej kopuły, ściśniętej po bokach przez dwa czyste medaliony skroni. Patrząc na takie czoło i oczy, nie powstrzymamy się więc od zachwyty. Patrząc na takie czoło i oczy, musimy też uznać istnienie tysiąca mankamentów, choć zadaniem dobrego biografy jest je przecież zignorować. Jemu zaś jedne widoki za oknem przeszkadzały, jak choćby postać matki, pięknej damy w zieleni, idącej właśnie karmić pawie z ochmistrzynią, panią Twitchett, kilka kroków za nią, kolejne – ptaki czy drzewa – olśniewały, a jeszcze inne, jak wieczorne niebo i kołujące gawrony, budziły zakochanie w śmierci; kiedy więc tak wspinał się po spiralnych schodach prowadzących do umysłu – a umysł miał przestronny – wszystkie te obrazy i odgłosy z ogrodu, jak uderzenia młota i stukot łupanego drewna, budziły w nim ferwor, zamęt uczuć oraz namiętności, których nie cenią dobrzy biografowie. Kontynuujmy jednak – Orlando powoli odsunął głowę od okna, usiadł przy stole i w aurze półświadości właściwej komuś, kto robi właśnie to, co zwykł robić każdego dnia w swym życiu o tej właśnie godzinie, sięgnął po rękopis zatytułowany *Æthelbert. Tragedia w pięciu aktach* i zanurzył w inkaucie stare, uwalane pióro.

Wkrótce ponad dziesięć stronic zapełniło się poezją. Pisał, jak widać, zęcinnie, lecz mgliście. Wśród postaci dramatu przewijały się Ułomność, Zbrodnia i Niedola; królowie i królowe niemożliwych ziem gnębieni okropnymi intrygami, po pas unurzani w szlachetnych pobudkach; ani słowo nie padało w sposób, w jaki mógłby je sam wyrzec, każde bowiem ukwiecał powabem i słodyczą, co wzięwszy pod uwagę jego lata – nie miał bowiem nawet siedemnastu – oraz czasy, gdyż szesnasty wiek nie skończył się przetaczać, było samo w sobie godne uznania. Wreszcie jednak przerwał. Opisywał, jak każdy przed nim i po nim młody poeta, przyrodę i by dokładnie odwzorować wybrany odcień zieleni, spozjrzał (taką efronterią przewyższając większość ludzi pióra) wprost na rzecz opisywaną; oko padło akurat na krzew laurowy rosnący pod oknem. Po czymś takim oczywiście pisać już nie był w stanie. Zielen w przyrodzie to jedno, zielen w literaturze – zupełnie co innego. Natura i litery darzą się najwyraźniej wrodzoną antypatią; gdy tylko je do siebie zbliżyć, rozrywają się na strzępy. Odcień zieleni, który Orlando zobaczył, popsuł mu rym i rozbił metrum. Co więcej, natura ma w zanadru własne sztuczki. Dość spojrzeć na zewnątrz, na pszczoły pośród kwiatów, na ziewającego psa, na zachód słońca, dość pomyśleć „ile jeszcze zachodów dane mi będzie oglądać” etc., etc. (myśl to zbyt powszechna, by warto ją utrwałać na piśmie) i już człowiek rzuca pióro, chwytą płaszcz i wychodzi, zahaczając po drodze stopą o malowaną skrzynię. Był bowiem Orlando cokolwiek niezdarny.

Uważał, by nikogo po drodze nie spotkać. Ścieżką zbliżał się właśnie Stubbs, ogrodnik. Orlando schował się za drzewem i odczekał, aż tamten przejdzie. Wymknął się przez

ogrodową furtkę. Minął wszystkie stajnie, psiarnie, warzelnie, stolarnie, pralnie, warsztaty, gdzie się wyrabia świece łojowe, bije wołu, kuje podkowry, szyje skórzane kaftany – posiadłość była miastem samym w sobie, dźwięczącym od pracy ludzi najrozmaitszych fachów – aż dotarł niezauważony do ścieżki, wiodącej pod górę wśród paproci. Kto wie, czy między różnymi przymiotami nie istnieje aby jakieś pokrewieństwo; jeden pociąga za sobą drugi. Biograf powinien tu zatem napomknąć, że niezdarność łączy się często z umiłowaniem samotności. Jako człowiek potykający się o komody Orlando miał więc z natury słabość do odludnych miejsc, rozległych krajobrazów i poczucia, że jest na zawsze, na zawsze, na zawsze sam.

Tak więc po długiej ciszy westchnął wreszcie: „Jestem sam”, po raz pierwszy w naszym dokumencie otwarłszy usta. Szedł pod górę bardzo szybko, przedzierając się przez paprocie i krzewy głogu, płosząc jelenie i dzikie ptactwo, aż dotarł w miejsce, gdzie rósł tylko jeden dąb. Był to punkt położony tak wysoko, że dało się stamtąd zwykle dojrzeć dziewiętnaście hrabstw angielskich, a w dzień pogodny nawet trzydzieści, albo i czterdzieści przy pogodzie wyjątkowo sprzyjającej. Czasami widać też było kanał La Manche, którego fale kładły się jedna na drugą. Widać było rzeki oraz sunące po nich łódeczki, galeony w drodze na morze, armady w obłokach dymu, z którego niosło się głucho echo armatnich wystrzałów, nabrzeżne forty, zamki pośród łąk, tu wieżę strażniczą, tam fortecę lub posiadłość tak ogromną jak ta należąca do ojca Orlanda, zabudowaną gęsto niczym otoczone murami miasto w dolinie. Na wschodzie z kłębow miejskiego dymu wyłaniały się wieże Londynu; zdarzało się, że jeśli wiało akurat we właściwą

stronę, między chmurami nad samym horyzontem majaczył skalisty szczyt i szczerbate zbocza Snowdon we własnej górzystej osobie. Orlando stał przez chwilę bez ruchu i tylko zliczał, patrzył, rozpoznawał. Tu dom ojca; tam stryja. Ten o trzech pokaźnych wieżyczkach wystających spośród drzew należał do ciotki. Ich było wrzosowisko i las; ich były bażanty, jelenie, lisy, borsuki, motyle.

Westchnął przeciągle i padł – ruchy jego odznaczały się bowiem pasją zasługującą na stosowne określenie – na ziemię u stóp dębu. W całej tej letniej przelotności uwielbiał czuć pod sobą kręgosłup ziemi, bo za grzbiet właśnie uważał twardy korzeń drzewa; albo może – bo jeden obraz rodził kolejny – widział w nim koński grzbiet, na którym mógł jechać przed siebie, albo pokład rzucanego falami okrętu – wszystko jedno, byle było twarde, bo potrzebował Orlando czegoś, do czego mógłby przytwierdzić swoje dryfujące serce; serce rwące, co wieczór w porze przechadzki szarpane wiatrem, w którym czuć, niczym zamorskie przyprawy, smak zakochania. Do dębu je uwiązywał i leżał, aż trzepotanie w sercu i wszędzie wokół ustawało; listki zwisały bezwładnie; jeleni przystawał; blade letnie chmury zamierały; kończyny zapadały mu się ciężko w ziemię i leżał tak niewzruszenie, że zwierzyna stopniowo zbliżała się do niego, gawrony kołowały, jaskółki nurkowały i krążyły, ważki smykały tuż obok, a cała płodność i miłosne ożywienie letniego zmierzchu opłatały jego ciało niczym sieć.

Po mniej więcej godzinie – słońce tonęło już gwałtownie, biel chmur przeszła w czerwień, wzgórza stały się fiołkowe, lasy barwy śliwki, a doliny czarne – rozległa się trąbka. Orlando zerwał się na nogi. Przenikliwy dźwięk dobiegał z do-

liny, z ciemnego punktu gdzieś w dole, z punktu zwartego, wpisanego w mapę, z labiryntu, z miasta jakby, tyle że opasanego murami, z głębi jego własnego wielkiego domu w dolinie, który dotąd pogrążony był w mroku, już gdy Orlando patrzył w dół, a dźwięki trąbki dzieliły się i mnożyły na inne, jeszcze przenikliwsze tony, ciemność zaś rozpraszała się, przeżywana blaskiem. Niektóre rozbłyski były drobne i pospieszne, znaczyły ścieżki wezwanej właśnie służby; inne światła, wysokie i rozlewne, wyglądały raczej na zapalone w pustych salach bankietowych szykowanych na przybycie gości, którzy jeszcze się nie pojawili; były też takie, co opadały, podrygiwały to w dół, to w górę, może trzymane przez oddziały służących zajętych kłanianiem się, klękaniem, wstawaniem, przyjmowaniem, strzeżeniem i eskortowaniem do środka z całą czcią należną wielkiej pani, która wysiada właśnie z karocy. Powozy wykreślały i przetaczały się przez dziedziniec. Konie zarzucały zdobionymi grzywami. Królowa ruszyła do wejścia. Królowa doszła.

Orlando nie patrzył już dłużej. Pognał w dół. Otworzył furtkę. Pędem na górę po krętych schodach. Do komnaty. Pończochy cisnął pod jedną ścianę, wams pod drugą. Zanurzył twarz w miednicy. Wyszorował ręce. Przyciął paznokcie. Mając do dyspozycji ledwie sześciocalowe zwierciadło i dwa ogarki świec, w mniej niż dziesięć minut przebrał się w karmazynowe pludry, koronkowy kołnierz, kaftan z tafty i trzewiki ozdobione rozetami, wetkniętymi jedna w drugą, a wielkimi jak dale. Gotowy. Zgrzany. Przejęty. A także straszliwie spóźniony.

Sobie tylko znanymi skrótami przebiegł rozległe skupiska komnat i piętra skoków do oddalonej o pięć akrów sali

bankietowej po przeciwnej stronie domu. Zatrzymał się jednak w połowie drogi, przy pokojach dla służby. Drzwi do saloniku pani Stewkley stały otworem – po niej samej nie było śladu; zapewne wzięła już wszystkie swoje klucze i poszła usługiwać pani. Ktoś jednak siedział jeszcze przy stole jadalnym dla służby, z kuflem pod ręką i pergaminem przed sobą, a był to człowiek dość tęgi, niedomyty, w przybrudzonej kryzie i stroju z brązowej szorstkiej wełny. Trzymał w dłoni pióro, lecz nie pisał. Zdawał się zajęty obracaniem jakiejś myśli w głowie, to w jedną, to w drugą stronę, jakby gotów czekać, aż myśl przyjmie odpowiadający mu kształt lub rozpęd. Oczywiście, wyłupiaste i mętne niczym zielony kamień o niezwyklej fakturze, miał skupione. Orlando nie zauważył. Ten zaś, mimo wielkiego pośpiechu, zamarł. Czyżby się natknął na poetę? Zajętego tworzeniem? Zapragnął od razu poprosić: „Powiedz mi, powiedz wszystko, co jest na świecie do powiedzenia” – miał bowiem najabsurdalniejsze, najszaleńsze, najbardziej ekstrawaganckie wyobrażenie o poetach i poezji – jak jednak zwrócić się do człowieka, który nas nie widzi? Który ogląda właśnie ogry, satyry, a może morskie głębiny? Stał więc Orlando przykuty tym widokiem, a mężczyzna obracał pióro w dłoni, raz tak, raz tak, obracał, patrzył i myślał; wreszcie zapisał szybko z pół tuzina wersów i podniósł wzrok. Zawstydzony Orlando spłoszył się, znów popędził przed siebie, aż dotarł do sali bankietowej akurat o czasie, by paść na kolana i zwiesiwszy niepewnie głowę, podsunąć miseczkę wody różanej do obmycia palców wielkiej królowej we własnej osobie.

Nieśmiałość jego była tak przejmująca, że z całej wspinałej postaci dostrzegł zaledwie upierścienioną dłoń; to mu jednak wystarczyło. Była to dłoń łatwa do zapamiętania, dłoń

szczupła, o długich palcach, wiecznie lekko zgiętych, jakby nawykłych do trwania wokół jabłka albo trzonu berła; dłoni popurczona, niespokojna, o chorobliwym wyglądzie; dłoni rozkazująca; dłoni, której wystarczyło się unieść, by gdzieś spadła głowa; dłoni, jak Orlando zgadywał, przymocowana do starego ciała, pachnącego jak szafa, w której trzyma się z kamforą futra; ciała spowitego jednak w najrozmaitsze brokaty i klejnoty, trzymającego się niezwykle prosto, choć niewykluczone, że dręczyły je bóle od rwy kulszowej; niewzruszonego, mimo ściskających je szwów tysiąca obaw; oczy królowej zaś były jasnożółte. Wszystko to Orlando poczuł w chwili, gdy wielkie pierścienie błysnęły w wodzie, a następnie coś przycisnęło mu włosy – co być może wyjaśnia, dlaczego nie zobaczył nic więcej, co posłużyłoby historykowi. W umyśle jego szalało zresztą takie kłębowisko przeciwieństw – myśli o nocy i blasku świec, o niechlujnym pocie i wielkiej królowej, o polnej ciszy i zgiełku służby – że nic nie widział, nic poza dłonią.

Z tych samych przyczyn królowa nie mogła widzieć nic poza głową. Da się jednak z samej dłoni wydedukować obraz reszty ciała zbrojnego we wszystkie atrybuty wielkiej królowej: kostyczność, odwagę, kruchosć i zgrozę; podobnie żyzny grunt do spekulacji może zapewnić głowa oglądana z wysokości tronu przez panią o oczach, jeśli wierzyć figurom woskowym z opactwa westminsterskiego, zawsze szeroko otwartych. Długie kręcone włosy, ciemna czupryna pochylona przed majestatem z taką czcią i tak niewinnie, kazały spodziewać się również pary najpiękniejszych nóg, na jakich kiedykolwiek zdarzyło się stanąć młodemu szlachcicowi, ócz fiołkowych, złotego serca, wreszcie lojalności i męskiego

uroku – wszystko to były przymioty, które stara kobieta kochała tym bardziej, im większy sprawiały jej zawód. Czas jej bowiem nie oszczędził, wyniszczył ją przedwcześnie, przygiął swym ciężarem. Wiecznie dzwonił jej w uszach huk armat. Przed oczami zawsze miała błysk kropeł trucizny i długiego sztyletu. Siedząc przy stole, nasłuchiwała; dochodziły ją echa wystrzałów nad kanałem; wiecznie się lękała – czy to kłątwa, czy to szept? Niewinność i prostota były jej tym droższe, im mroczniejsze tło, na którym je oglądała. Tej samej nocy, jak twierdzą historycy, kiedy Orlando mocno spał, królowa wreszcieложиła pieczęć na akcie darującym jego ojcu rozległą posiadłość klasztorną, należącą wcześniej do arcybiskupa, po nim zaś do króla.

Orlando całą noc przespał w nieświadomości. Nie wiedział, że całowała go królowa. I być może, bo serca kobiece konstrukcję mają nader misterną, właśnie jego nieświadomość i to, jak zadrżał przez sen, kiedy dotknęły go jej wargi, podsycaly później świeżość jej wspomnienia o młodym kuzynie (byli bowiem spokrewnieni). Nie minęły dwa lata cichego wiejskiego życia, podczas których Orlando napisał ledwo dwadzieścia tragedii, z tuzin powiastek i garść sonetów, nim pewnego dnia przybył posłaniec z wiadomością, że młodzieniec ma towarzyszyć królowej w pałacu Whitehall.

– Oto nadchodzi – rzekła, widząc, jak zbliża się ku niej długa galeria – oto nadchodzi mój niewinny! (Zawsze otaczała go bowiem aura spokoju przydająca mu niewinności, choć gdyby trzymać się faktów, słowo to nie miało już zastosowania).

– Zbliź się! – rzekła.

Siedziała przy kominku, wyprostowana jak struna. Zatrzymała go krok od siebie i uważnie zmierzyła wzrokiem.

Czy nadal odpowiadał jej wyobrażeniom z tamtej nocy, kiedy prawdę dało się dostrzec gołym okiem? Czy uznała swe domysły za uzasadnione? Oczy, usta, nos, pierś, biodra, ręce – wszystkiemu dokładnie się przyjrzała, a gdy patrzyła, wargi dostrzegalnie jej drgały; gdy jednak zobaczyła jego nogi, roześmiała się w głos. Orlando był ucieleśnieniem szlachetnie urodzonego młodzieńca. Co miał jednak w środku? Błysnęła jastrzębiożółtymi oczyma, jakby zamierzała przebić mu duszę na wskroś. Młody człowiek wytrzymał jej spojrzenie i tylko delikatny jak róża damasceńska rumieniec ozdobił mu lico. Siła, wdzięk, romantyczność, beztroska, poezja, młodość – czytała z niego jak z otwartej książki. Wtem zdarła z dłoni pierścień (napotkawszy po drodze wybór obrzmiałego stawu) i włożyła na palec Orlanda, mianując młodzieńca swoim skarbnikiem i zarządcą; następnie zawiesiła mu na szyję łańcuchy urzędowe i nakazawszy zgiąć kolano, opasała je w najsmuklejszym miejscu zdobnym klejnotami Orderem Podwiązki. Odtąd niczego mu już nie odmawiano. Kiedy wybierała się gdzieś w uroczystym orszaku, on jechał przy drzwiczkach jej powozu. To jego wyprawiła ze smutnym poselstwem do nieszczęsnej królowej Szkocji. I już miał płynąć, by walczyć w polskich wojnach, kiedy go powstrzymała. Nie mogła znieść myśli, że rozerwie się jego delikatna skóra, a kędzierzawa głowa potoczy w pył. Zatrzymała go przy sobie. W chwili zaś najbardziej triumfalnej, gdy huczały salwy z Wieży Londyńskiej, a powietrze tak zgęstniało od dymu prochowego, że aż kręciło w nosie, gdy lud wiwatował pod oknami, ona pociągnęła go na poduszki, na których ją złożyły damy dworu (tak bowiem wyniszczył ją wiek), po czym zmusiła do zanurzenia twarzy w oszałamiającej kompozycji – nie

zmieniała sukni od miesiąca – roztaczającej ze wszystkich na świecie zapachów akurat ten, pomyślał, przywołując chłopięce wspomnienie, jak ze starej szafy, gdzie trzymano futra jego matki. Dźwignął się, na wpół uduszony objęciami królowej.

– Oto – wydyszała – oto moje zwycięstwo!

I tak się złożyło, że w tej właśnie chwili huknęła rakietą, barwiąc jej lico szkarłatnym blaskiem.

Kochała go bowiem stara królowa. A jako że znała mężczyzn od podszewki, choć niektórzy twierdzą, że wcale nie w takim znaczeniu, jak byśmy sądzili, to zaplanowała mu olśniewającą i bardzo ambitną karierę. Wiele otrzymał ziem na własność i posiadłości pod opiekę. Miał stać się dla niej synem w jej starości; filarem dla kruchego zdrowia; pniem dębu, o który mogłaby się oprzeć w swoim postępującym rozkładzie. Wyskrzekiwała te obietnice i osobliwe, dławiące czułości (znajdowali się akurat w Richmond), siedząc idealnie wyprostowana, cała w sztywnych brokatkach, przy ogniu, który – choćby bez końca sycono go drwami – wcale jej nie rozgrzewał.

Długie zimowe miesiące wlokły się niemiłosiernie. Każde drzewo w parku obrosło warstwą szronu. Rzeka płynęła ospale. Pewnego popołudnia, gdy śnieg bielił ziemię, w wyłożonych boazerią komnatach tłoczyły się cienie, a w parku niosło się porykiwanie jeleni, królowa zobaczyła przez szparę w drzwiach, bo zawsze trzymała je niedomknięte z obawy przed mordercami, zobaczyła w lustrze, przy którym zawsze siedziała z obawy przed szpiegami, chłopca – czy mógł to być Orlando? – całującego dziewczynę... Co to, do diabła, za bezwstydnica? Królowa chwyciła złoconą rękojeść miecza i ugodziła wściekle lustro. Szkło się roztrzaskało, przybieg-

ła służba, by dźwignąć władczynię i posadzić ją na powrót w fotelu, ona jednak nie otrząsnęła się po tamtym odkryciu i w zmierzchu swych ostatnich dni często lamentowała nad zdradziecką naturą mężczyzn.

Być może był tu Orlando winien; ale czy możemy mieć mu to za złe? Trwała epoka elżbietańska, moralność jej mieszkańców nie przypominała naszej, podobnie jak poeci, klimat czy choćby warzywa. Wszystko było inne. Możemy sądzić, że nawet pogoda, jej letnie upały i zimowe mrozy, miała zupełnie różny od dzisiejszego temperament. Świetlisty, romantyczny dzień odcinał się od nocy tak ostro, jak ląd odcina się od wody. Zachody słońca były czerwieniejsze i wyrazistsze, a poranki bielsze i bardziej różane. O naszych wieczornych szarzyznach i rozmytych zmierzchach nigdy nawet nie słyszano. Deszcz padał rzęsimy lub nie padał wcale. Słońce, gdy nie paliło, znikało w mroku. Poeci swoim zwyczajem przekładali te zjawiska na obrazy bardziej uduchowione i śpiewali pięknie o więdnących różach, którym opadają płatki. Chwila przemija, nucili; trwa krótko, a po niej nadchodzi dla nas wszystkich wspólna długa noc. Obce im były sztuczki przedłużania i zachowania różanej świeżości w szklarniach czy oranżeriach. Nie znali zasuszonych niuansów i zawłości naszej epoki, bardziej naznaczonej zwątpieniem i mglistymi przemianami. Rządziła przemoc. Kwiat kwitł i umierał. Słońce płonęło i gasło. Kochanek kochał i porzucał. A co poeta opisywał wierszem, dla młodych było samym życiem. Dziewczęta były niczym róże, i niczym róże przekwitały. Zerwać je należało przed zachodem słońca, bo dzień był krótki – bo wszystkim był dzień. Skoro zatem Orlando podążył za wskazaniem swego klimatu, swoich poetów, swoich wreszcie

czasów i zerwał kwiat z okiennego parapetu, choćby i śnieg leżał na ziemi, a królowa czujnie wyglądała na korytarz, trudno będzie nam go potępić. Był młodym chłopcem, postępował więc, jak nakazywała mu natura. Co do dziewczęcia, to nie wiemy o jego imieniu więcej, niż wiedziała tego dnia królowa Elżbieta. Mogło brzmieć na przykład Doris, Chloris, Delia czy Diana, bo dla każdej z nich układał rymy; nie jest też pewne, czy dziewczę było damą dworu, czy też może służką, gust miał bowiem Orlando pojemny i nie ograniczał się w zainteresowaniach do roślin ogrodowych; kwiaty polne, a nawet pospolite chwasty równie go fascynowały.

W tym miejscu wyłożyć należy, ze szczerością wręcz ordynarną, taka bowiem rola biografa, osobliwą cechą Orlando, za którą odpowiedzialność ponosi być może fakt, że jedna z jego babek nosiła lnianą koszulę i dźwigała skopki z mlekiem. Z rzadką, szlachetniejszą krwią, która napłynęła do jego żył z Normandii, zmieszało się kilka grudek ziemi z Kent lub Sussex. On sam utrzymywał, że brązowa gleba i błękitna krew to połączenie bardzo dobre. Pewni możemy być zaś jednego: zawsze miał Orlando słabość do towarzystwa ludzi z niższych sfer – zwłaszcza tych co lepiej wykształconych, którym własny polot zwykle staje na drodze – jakby czuł z nimi więzy krwi. W tej porze życia, gdy miał głowę pełną rymów i z czystym sumieniem spać nie chadzał, twarz córki karczmarza zdawała mu się świeższą, a dowcip bratani-cy gajowego lotniejszy niż u dam dworu. Zaczął więc odwiedzać nocami miejsca w rodzaju gospody przy nadrzecznych schodach na Wapping, pilnując, by szarą peleryną zakryć gwiazdę u szyi oraz podwiązkę na kolanie. Przesiadywał nad kuflem pośród zapiaszczonych przejść i alejek do gry w kręgle,

gdzie słuchał marynarskich opowieści o trudach, zgrozach i koszmarach życia na hiszpańskim morzu; o tym, jak jedni potracili palce u stóp, a inni nosy – historii mówionej nigdy się bowiem nie szlifuje i nie zabarwia z taką starannością jak na piśmie. Najbardziej lubił Orlando słuchać, jak co sił w płucach wyśpiewują piosenki z Azorów, podczas gdy przywiezione stamtąd papużki skubały kółka w uszach właścicieli, postukiwały twardymi, pazernymi dziobkami w rubiny skrzące się na palcach i klęły równie odrażająco jak ich właściciele. Kobiety od ptaków ledwo co były powściągliwsze w mowie i manierach. Przysiadaly młodzieńcowi na kolanie, zarzucały mu ręce na szyję i zgadując, że pod płaszczem z grubej wełny skrywa coś niepospolitego, równie ochotco co sam Orlando szukały okazji, by lepiej się poznać. Okazji zresztą nie brakowało. Na rzece od świtu do nocy tłoczyły się barki, promy, łodzie i łódki wszelkiego rodzaju. Nie było dnia, żeby jakiś piękny statek nie wypłynął do Indii; co jakiś czas zdarzało się i tak, że czarna i zawszona od bezimiennej kudłatej załogi łajba pełzła ostatkiem sił, by zarzucić kotwicę. Nikt się nie niepokoił o dziewczynę czy chłopca, którzy ociągali się nieco z powrotem znad wody po zachodzie słońca; nikt też się nawet nie dziwił, gdy szła plotka, jakoby ktoś widział kochanków śpiących głęboko między workami z drogocennym ładunkiem, ukrytych bezpiecznie jedno w ramionach drugiego. A taka właśnie przygoda stała się udziałem Orlanda, Sukey i earla Cumberlanda. Dzień był gorący; ich miłość intensywna; zasnęli pośród rubinów. Późno w noc earl, którego fortuna pochodziła niemal w całości z interesów prowadzonych w Hiszpanii, wszedł na pokład sam, by w świetle lampy obejrzyć cenny towar. Błysnął na beczułkę.

Cofnął się zaskoczony i zaklął. Baryłkę oplatały ciała dwóch śpiących istot. Przesądny z natury earl, o sumieniu ciężkim od najróżniejszych zbrodni, wziął parę – młodzi byli bowiem spowici czerwoną peleryną, spod której wзираła pierś Sukey niemal tak biała jak wieczne śniegi w poezjach Orlanda – za dwie dusze, co wyrwały się z grobów potopionych marynarzy, by skarcić go za grzechy. Przeżegnał się. Obiecał okazać skrucę. Szereg przytułków, do dziś stojących przy Sheen Road, niech posłuży za namacalny dowód tej chwili zgrozy. Tuzin ubogich staruszek z miejscowej parafii po dziś dzień rankiem popija herbatę, a wieczorem błogosławi jego lordowską mość za dach nad głową; takie to skutki miała chwila zakazanej miłości na statku pełnym skarbów – wróćmy jednak do sedna.

Wkrótce Orlando się znużył – nie tylko niewygodą takiego życia i wędrówkami po płataninie ciasnych uliczek, ale też prymitywnymi manierami ludzi, których tu spotykał. Warto bowiem pamiętać, że występki i ubóstwo nie były dla mieszkańców epoki elżbietańskiej tak urzekające jak dla nas. Nie ciążył im nasz współczesny wstyd bycia uczonym z książek ani nasze przeświadczenie, że urodzić się synem rzeźnika jest błogosławieństwem, a niepiśmienność cnotą; nie wmawiali sobie, że to, co nazywamy „życiem” i „rzeczywistością”, musi być powiązane z ignorancją i brutalnym obejściem; w ogóle żadnych odpowiedników tych słów znajdować nie próbowali. Nie w poszukiwaniu „życia” zapuścił się Orlando pośród nich i nie z tęsknoty za „rzeczywistością” ich zostawił. Po prostu: usłyszawszy po wielokroć, jak to Jakes stracił nos, a Sukey cnotę – a trzeba im przyznać, że opowiadali te historie nader zajmująco – zaczęła go nieco męczyć ich powtarzalność, bo i z nosem, i z cnotą da się rozstać tylko w jeden sposób – tak

mu się przynajmniej wtedy zdawało – podczas gdy nauka i sztuka nieskończenie bardziej były zróżnicowane, co głęboko poruszało jego ciekawość. Tak więc, zachowawszy nocne wycieczki w miłej pamięci, przestał odwiedzać gospody i kręgielnie, szary płaszcz odwiesił na kołek, by znów mogły polyskiwać gwiazda u szyi i podwiązka przy kolanie, po czym zjawił się z powrotem na dworze króla Jakuba. Był młody, bogaty i przystojny. Niczyjej obecności nie przykładałoby się bardziej ochoczo.

Nie ma w każdym razie wątpliwości, że wiele dam było gotowych okazywać mu względy. Imiona co najmniej trzech swobodnie zestawiano z jego nazwiskiem podczas rozmów o matrymonium – konkretnie zaś Clorindy, Favilli i Eufrozyny, by pozostać przy mianach, które nadał im w swych sonetach.

Opiszmy je zatem po kolei: Clorinda była damą o usposobieniu dość miłym i łagodnym – Orlando wielbił ją przez sześć i pół miesiąca – miała jednak całkiem białe rzęsy i nie mogła znieść widoku krwi. Mdląła, gdy podawano jej przy ojcowskim stole pieczonego zająca. Była też pod wielkim wpływem księży i skąpiła na niewymowne, by więcej oddawać ubogim. Postanowiła sprowadzić Orlanda z drogi grzechu, czym on już całkiem się brzydził, więc wycofał się z zaręczyn i nie bardzo żałował, gdy niedoszła oblubienica zmarła na ospę.

Następna w kolejce, Favilla, to kobieta zupełnie innego pokroju. Była córką ubogiego szlachcica z Somersetshire, która wyłącznie za sprawą własnej wytrwałości, a także zmyślnej pracy spojrzeniami zaszła wysoko na królewskim dworze, gdzie zgodnie podziwiano, jak obchodzi się z końmi, jak szlachetnie ma podbicie i z jakim wdziękiem tańczy. Pewnego

razu jednak, straciwszy panowanie nad sobą, stłukła prawie na śmierć spaniela, który jej rozdarł jedwabną pończochę (na usprawiedliwienie Favilli należałoby jednak dodać, że pończoch miała niewiele, a i to głównie z drojetu), i zrobiła to pod samym oknem Orlanda. Młodzieniec zaś, pałający wielką do zwierząt miłością, zorientował się nagle, że ukochana ma krzywe zęby, w tym dwa przednie zwrócone do środka, co, jak ocenił, bez dwóch zdań świadczyło o przewrotności i zwyrodnieniu kobiecego charakteru, więc jeszcze tego samego wieczora na zawsze zerwał zaręczyny.

Trzecia, Eufrozyna, była najpoważniejszym z jego zauroczeń. Pochodziła z jednego z klanów irlandzkiego królestwa Desmondów, stało więc za nią drzewo genealogiczne równie stare i głęboko zakorzenione co rodzina Orlanda. Miała białą skórę, różane lico i cokolwiek flegmatyczne usposobienie. Mówiła dobrze po italsku i mogła się pochwalić doskonałym zestawem górnych zębów, aczkolwiek dolne nieco ustępowały im barwą. Nie pojawiała się nigdzie bez charcika lub spaniela u nogi; karmiła je białym chlebem z własnego talerza. Śpiewała słodko przy akompaniamencie wirginału i nigdy nie widywano jej ubranej przed południem, jako że niezwykle dbała o swoją osobę. Krótko mówiąc: doskonale nadawałaby się na żonę dla takiego szlachcica jak Orlando, sprawy zresztą zaszyły na tyle daleko, że przedstawiciele obu stron już szykowali umowy, ustalali wysokość wdowiego dożywocia, wymiar wszelkich indemnizacji i parcelacji, ruchomości i nieruchomości oraz każdej innej kwestii koniecznej do uzgodnienia, zanim jedna wielka fortuna połączy się z drugą, kiedy wtem, z nagłością i surowością właściwym wówczas angielskiemu klimatowi, nadszedł Wielki Mróz.